

Tułaczka po Państwie Środka

My, Europejczycy, jesteśmy w sobie bardzo zapatrzeni. Wydaje się nam, że stanowimy pępek świata i że nasza wielowiekowa kultura oraz religia stawiają nas wyżej od innych. Dlatego podróż do Chin może być trochę traumatycznym, a trochę niezwykle interesującym wyzwaniem. Oto bowiem z pokorą musimy pochylić czoło przed kilkutomysięczną, nieprzerwaną historią jednego państwa oraz jego niewiarygodnie bogatym dziedzictwem kulturowym i religijnym, przy którym nasze cywilizacyjne osiągnięcia często bledną. Poza tym nie zapominajmy, że Chiny są najludniejszym państwem na świecie i statystycznie rzecz biorąc, niemal co czwarty człowiek jest Chińczykiem.

Do Chin docieram po kilkunastodniowym pobycie w Mongolii. Przekraczając granicę, mam poczucie, że pojawiając się w zupełnie innym świecie. Za sobą pozostawiam (z poczuciem pewnego żalu i nostalgii) nieokrzyszczonych koczowniców, żyjących na rozległych równinach stepu w prymitywnych namiotach, a przede mną wyrastają ludne miasta, ulice pełne samochodów i rowerów, a także ludzie o rysach wprawdzie typowo wschodnich, jednak jakby bardziej delikatnych i cywilizowanych. Chiny witają mnie też znakomitym jedzeniem, na które dosłownie rzucam się po monotonnym mongolskim menu.



Fot. Ryszard Kulik

Chińskie przysmaki

Pierwsze obserwacje dotyczą właśnie jedzenia. Okazuje się bowiem, że Chińczycy traktują jedzenie bardzo poważnie. Oznacza to, że - w pewnym uproszczeniu - jedzą ciągle, wszędzie i wszystko. Przechadzając się po mieście, mijam niezliczone restauracje, małe knajpki czy uliczne, przenośne bary, które uwijają się jak w ukropie, by wykarmić ten wielki naród. Tutaj właśnie za niewielkie pieniądze można zamówić miskę ryżu z wieloma dodatkami, najczęściej warzywnymi, które są na miejscu krótko smażone na głębokim oleju. Ogromna ilość tych barów na kółkach przekłada się następnie na ogromną ilość ludzi, która korzysta z ich dobrodziejstw. Zatem zawsze wokół znajdują się jacyś Chińczycy, którzy coś pochłaniają. I dzieje się to niemal wszędzie: na ulicy, w instytucjach, w pociągu. Podróżując wielokrotnie pociągami, zauważam, że każdy szanujący się Chińczyk w pierwszej kolejności, po zajęciu miejsca siedzącego, wyciąga wałówkę i je. Niemal każdy też zaopatrzone jest w słoik z zieloną herbatą. Ci, nieliczni, którzy nie są przygotowani w ten sposób do podróży, zawsze mogą liczyć na obsługę pociągu, która pchając miniaturowe bary na kółkach serwuje smakowite dania, jeżdżąc tam i z powrotem.

Wydaje się, że Chińczycy patrzą na świat przez pryzmat jedzenia i nie przepuszczą niczemu, co do jedzenia się nadaje. Oprócz różnorodnych, często nieznanym nam ziaren i warzyw uprawianych dosłownie wszędzie - nawet na bocznicach kolejowych - oraz wielu gatunków mięsa, Chińczycy nie gardzą skorpionami, węzami, ogromnymi konikami polnymi czy tłustymi larwami owadów. Widziałem też, jak wieczorami łapią do odpowiednio skonstruowanej siatki brzęczące głośno, wielkie jak kciuk, owady przypominające muchy. Podobno smakują wykwintnie, smażone na głębokim oleju.

Przy tym wszystkim nie je się tutaj w ogóle chleba. Za to Chińczycy są koneserami zup. Jedzą je oczywiście... pałeczkami. Odgłosy, jakie przy tym wydobywają, są niezapomnianym kulinarnym koncertem.

Przyglądając się temu jedzeniowemu spektaklowi, niewiarygodne wydaje się to, że jeszcze w latach

60. Chiny po komunistycznych eksperymentach nie potrafiły się same wyżywić, co spowodowało śmierć wielu milionów ludzi.

Wielki mur

Sztandarową pozycją w planach każdego turysty odwiedzającego Chiny jest oczywiście Wielki Mur. Również i my decydujemy się zobaczyć to monumentalne dzieło ludzkich rąk, budowane konsekwentnie wiele stuleci przez kolejnych cesarzy. Wybieramy jednak taki odcinek muru, który nie przyciąga zbyt wielu turystów, bowiem mur w okolicach Huanghua pozostawiony jest samemu sobie. Nie ma tutaj biletów wstępu, wszechobecnych kramów z pamiątkami oraz zwiedzających tłumów. Z Pekinu to zaledwie kilkadziesiąt kilometrów, który to dystans pokonujemy autobusem, a później taksówką. W drodze mamy okazję obserwować górskie wioski oraz nieśpieszną egzystencję chińskich chłopów.



Fot. Ryszard Kulik

W okolicy muru dojeżdżamy wieczorem. Wokół wznoszą się mocno stożkowate góry, porośnięte skąpą roślinnością, z mocno wciętymi dolinami – dokładnie jak na starych chińskich malowidłach. To właśnie grzbietami tych gór ciągnie się nitka budowli, przypominająca z daleka ogromnego węża, a może smoka. Sam mur jest nieco zniszczony i zaniedbany; w wielu miejscach zarasta krzakami i innymi roślinami. Ale to dodaje mu tylko uroku. Atmosfera jest rzeczywiście szczególna, bo właśnie zapada zmrok, w powietrzu jest mnóstwo wilgoci, która osiada na wszystkim wokół niczym całun. Słońce z trudem przebija się przez tę zasłonę. Jest zupełnie bezwietrznie i spokojnie. Wdrapujemy się po rozpadających stopniach, a następnie schodzimy w dół, by ponownie, po chwili, znów wspinać się w górę. Po drodze spotykamy kilku Amerykanów, którzy wcześniej zaopatrzyli się w petardy, by w tej szczególnej scenerii dać upust swoim wybuchowym charakterom. Te petardy to podobno taka turystyczna tradycja. Mnie jednak irytują kolejne wybuchy rozdzierające ciszę okolicznych wzgórz.

Po niecałej godzinie wspinaczki znajdujemy miejsce do spania na niewielkim skrawku dość dobrze zachowanego płaskiego muru. Tutaj rozkładamy karimaty i śpiwory. Przed snem długo wpatruję się w gasnący dzień, myśląc o burzliwej historii tego miejsca, ambitnych planach władców oraz o cierpieniu i śmierci zwykłych ludzi, którzy do realizacji tych planów byli wykorzystywani.

Następnego dnia wcześnie rano wyruszamy w dalszą wędrówkę, pokonując kolejne wstęgi muru. Po drodze, przechodząc przez jedną z licznych baszt, mijamy śpiących Amerykanów. Obok jednego z nich leży książka Tolkiena. Czyż można sobie wyobrazić inną lekturę w takim miejscu...

Pociąg do Chengdu

Nasza wyprawa do Chin należała do tych niskobudżetowych, gdzie włączenie się z plecakiem po tanich hotelach oraz przemieszczanie tanimi środkami transportu należą niemal do obowiązku prawdziwego podróżnika. Dzięki temu miałem okazję odkryć smak prawdziwego życia w tym kraju.

Zacząło się od kupowania biletów kolejowych. Otóż sytuacja wygląda tak, że przy niewielkim okienku kasowym kłębi się tłum kilkudziesięciu Chińczyków. Nikt nie stoi tutaj w kolejce, wszyscy bowiem napierają co sił w kierunku małego otworu w szybie, który spełnia rolę jedyne go kanału komunikacji z kasjerką. Stojący ludzie przekrzykują się i szturchają, jednocześnie wymachując pieniędzmi i próbując wsunąć je w zbawienny otwór. Stając przed tym widowiskiem ogarnia mnie mieszanina przerażenia i totalnej bezsilności. No bo nie dość, że nie wiem dokładnie, jakim pociągiem chcę

jechać (rozkład jest dla mnie zupełnie nieczytelny), to jeszcze mój chiński jest mniej więcej na tym samym poziomie, co angielski kasjerki. Patrząc na kłębiących się Chińczyków, którzy mają wielokrotną przewagę nade mną, ogarnia mnie prawdziwy marazm. Odstępuję więc i próbuję innej taktyki, mianowicie zwrócenia na siebie uwagi kasjerki. Ta jednak, jak na ironię zachowuje się przedziwnie: siedząc przed komputerem nie zwraca uwagi na nikogo. Całość wygląda dość groteskowo, bo po jednej stronie szyby kłębi się wrzaskliwy tłum, a po drugiej stronie niewzruszona kasjerka jakby nigdy nic stuka zawzięcie w klawiaturę. To dobija mnie niemal całkowicie. Już myślę, że spędzę tam kolejnych kilkanaście godzin, gdy po jakimś czasie zauważam pewną prawidłowość. Otóż, co kilkanaście minut, zupełnie niespodziewanie, kasjerka beznamiętnie omiata wzrokiem szamoczących się ludzi. To jest właśnie ten moment, gdy jeden ze szczęśliwców może wepchnąć pieniądze i krzyknąć cel podróży. Następne półtorej godziny zajmuje mi zajęcie strategicznej pozycji w tłumie. W międzyczasie przygotowuję też stronę z przewodnika z napisaną po chińsku nazwą miasta i w odpowiednim momencie omiatania przez kasjerkę wzrokiem rozgorączkowanej gawiedzi, rzucam się z tym przewodnikiem na szybę przyklejając się do niej niemal cały. Jest! Tym razem jej wzrok wybrał mnie...



Fot. Ryszard Kulik

Jak się później okazuje, kupienie biletu nie jest wyjątkowym wyczynem. Prawdziwym wyzwaniem jest bowiem sama podróż pociągiem. Początkowo nic nie wskazuje na jakieś szczególne trudności. Na dworcu pojawiają się kilkanaście minut przed odjazdem. Przed wejściem na perony oczywiście musimy pokazać swoje bilety. Trochę niepokoi nas to, że poruszamy się w rzece sporego tłumu, który porwał nas w kierunku pociągu. Czy oni wszyscy jadą tym samym pociągiem? Nie martwi nas to jednak zbyt bardzo, bo przecież mamy wykupione miejscówki. Przed wejściem do wagonu kłębi się spora grupa. Tutaj po raz kolejny sprawdzane są bilety. Wchodzimy do wagonu i przeżywamy prawdziwy szok, bo... za bardzo nie da się już do niego wejść. W środku jest taki ścisk, że jakkolwiek ruch jest niemożliwy. Przepychamy się więc na siłę z naszymi ogromnymi plecakami. W końcu docieramy do numerowanych miejsc, które oczywiście są zajęte. Wprawdzie siedzący tam ludzie posłusznie zwalniają nam miejsce, jednak oni sami nie mają już nawet gdzie stanąć. Siedzimy więc razem w dziewięć osób na dwóch potrójnych siedziskach pośród płataniny nóg, w którym to gąszczu nie można rozpoznać własnych kończyn, nie mówiąc już o ich rozprostowaniu. Do tego wszystkiego zalegamy na sobie w jednej pozycji, a plecaki korbują nas wszystkich w pełnym znieruchomieniu. Ale i tak jesteśmy szczęśliwcami, bo siedzimy, podczas gdy inni stoją w niewyobrażalnym tłoku. Dodatkowo wewnątrz wagonu jest sporo ponad 40°C. Pot leje się z nas strumieniami, siedzenie lepi do ciała, podobnie zresztą jak ubranie i towarzysze podróży. Jedyłą otuchą stanowi rząd wentylatorów, które zainstalowano na suficie. Obracają się dookoła w jednostajnym rytmie i przypominają w tym dziwnego stwora z filmu SF. Wentylatory wprawiają w ruch to gorące, duszne i wilgotne od potu i różnorodnych zapachów powietrze. Ale tak czy owak, w całej tej sytuacji dają niewielką ulgę.

Okazuje się, że kolejni pasażerowie nie są już w stanie dostać się do wagonu przez drzwi (tam wszystko jest już zablokowane), więc zostają wrzucani wprost do środka przez okna. O, właśnie wpadła jakaś kobieta, a za nią gładzący koszyk. Widzę, że niedaleko mnie stoi młoda matka z niemowlakiem na ręku. Nikt jednak jej nie współczuje. Tutaj nie ma litości, każdy myśli wyłącznie o sobie. Słyszę też odgłosy kur i kaczek, które podróżują z nami. W końcu ruszamy, co daje wielu osobom sygnał do rozpoczęcia jedzenia. Rozpoczyna się wielka uczta, której skutkiem jest rosnąca na podłodze masa odpadków i resztek jedzenia. Nie ma tutaj żadnych koszy na śmieci, więc wszystko ląduje na podłodze: ogryzione kości kurczaka, łupiny po słoneczniku, kawałki pomidorów, ogryzki, pestki. Do tego wszystkiego zewsząd rozlegają się przeciągłe charkania. Trochę to przypomina

rżenie zarznanego prosiaka. Ludzie spluwają oczywiście na podłogę. Przez jakiś czas bawię się w jurora, który ocenia, kto piękniej charka. Ale po chwili rezygnuję, bo wszyscy bez wyjątku osiągnęli w tej sztuce daleko idącą doskonałość. Plwociny mieszają się z resztkami jedzenia i po jakimś czasie tworzą klejącą się do butów i coraz bardziej cuchnącą maź, którą rozdeptują kolejne przechodzące osoby. W takich oto warunkach jedziemy prawie 19 godzin do Chengdu.

A tak na marginesie, to charkanie, to prawdziwy chiński zwyczaj. Charkają tutaj wszyscy i wszędzie. Chyba nigdy nie zapomnę rozmowy z recepcjonistką w hotelu, która w nienagannym uniformie i z równie nienagannym angielskim (co jest rzadkością w tym kraju) przerwała sobie w pół zdania, po czym pociągnęła nosem chyba aż do samych trzewi i siarczyście charknęła, spluwając jednocześnie na podłogę. Chińczycy twierdzą, że to wszystko przez suche wiatry wiejące z północy i niosące ogromne ilości kurzu i pyłu z Pustyni Gobi. Charkanie w tym przypadku jest zabiegiem higienicznym, utrzymującym w czystości górne drogi oddechowe.

Święta góra Emei

Z Chengdu najpierw wypuszczamy się do Leshan, gdzie podziwiamy m.in. największą (dosłownie) atrakcję tego miejsca. Jest nią największy na świecie, bo 76-metrowy siedzący Budda, wyrzeźbiony w skalistym zboczu góry nad wijącą się rzeką. Następnie jedziemy do Emei, które jest niewielkim miasteczkiem położonym u podnóża świętej góry o tej samej nazwie. Nocujemy tam w uroczym klasztorze buddyjskim Baogao, który oferuje noclegi dla pielgrzymów. Atmosfera tutaj jest szczególna: wokół sporo mnichów w purpurowych szatach, jesteście świadkami niezwyklej ceremonii, palą się kadzidła, dzwonią dzwonki i dudnią bębny, a do tego wszystkiego w nocy, oświetlonymi przez lampiony korytarzami latają nietoperze.

Następnego dnia rano chcemy autobusem dojechać do innej świątyni, od której rozpoczyna się szlak na szczyt góry Emei. Czekamy dość długo, aż orientujemy się, że autobusy chyba tam nie jeżdżą. Ale trzeba to jednak sprawdzić. Podchodzę więc do kilkunastoosobowej rodziny, w której – jak się okazuje – dwóch ośmiolatek i jeden trzynastolatek uczą się angielskiego. Jednak chłopcy w momencie, gdy zauważają, że czegoś będę od nich chciał, biorą nogi za pas i uciekają. Zdziwieni i trochę poirytowani rodzice puszczają się za nimi w pościg. Również reszta rodzeństwa mobilizuje się i zaczyna gonić uciekinierów. Chłopcy są jednak bezkonkurencyjni i w końcu rodzice dając za wygraną pokazują mi, żebym może tym razem ja spróbował ich pogonić. No cóż, uśmiecham się dyplomatycznie i czekam cierpliwie na rozwój wypadków. Ostatecznie chłopcy przychodzą sami i ze spuszczonej głowami, poszturchując się wzajemnie i używając wspólnie czterech słów po angielsku, tłumaczą mi, że musimy pojechać taksówką.

Emei shan jest świętą górą buddystów. Na jej szczyt, który tworzą dwa wierzchołki (niższy to „Szczyt tysiąca Buddów”, wyższy to „Szczyt dziesięciu tysięcy Buddów”) prowadzą schody. Pierwszy raz w życiu wchodzę po schodach na wysokość 3050 m n.p.m., co zajmuje mi 12 godzin marszu. To prawdziwe schody do nieba. Po drodze mijamy wiele malutkich klasztorów buddyjskich oraz świątyń, a także bogatych pielgrzymów, którzy wnoszeni są na górę w specjalnych lektykach przez tragarzy. Spotykamy też małpy – makaki tybetańskie, które traktują turystów i pielgrzymów, a raczej ich plecaki, jak darmowy prowiant. Nie ma się zresztą co dziwić, bo ludzie nauczyli je nienaturalnych zachowań, dokarmiając te zwierzęta. To, co mogę zaobserwować, przeraża mnie i złości, bo widzę, jak pielgrzymi najpierw dają małpom jakieś jedzenie, a później muszą się przed nimi bronić, gdy te stają się zbyt nachalne i agresywne. Widać też, że w momencie, gdy małpa kradnie plecak, a jego właściciel salwuje się ucieczką, zwierzę dobiera się do jedzenia i spożywa je razem z foliowym workiem.

Nazajutrz wcześniej rano wybieramy się na wschód słońca, którego podziwianie ze szczytu jest

obowiązkowym punktem w programie każdego pielgrzyma. W okolicach wierzchołka jest już sporo ludzi. W momencie, gdy pierwsze promienie rozświetlają mroki, daje się słyszeć westchnienie zachwytu dobywające się z kilkuset gardeł.

Wokół szczytu znajduje się mnóstwo kramików z dewocjonaliami i pamiątkami. Pod tym względem to święte miejsce niewiele różni się od tych, jakie znamy z własnej kultury. Króluje tutaj zarówno duch, jak i mamona. No może jeden zwyczaj jest szczególnie egzotyczny. Otóż niektórzy pielgrzymi zapinają kłódki z wygrawerowanymi sercami oraz inicjałami na licznych poręczach, a następnie wyrzucają kluczyk. Ma to symbolizować dozgonne oddanie się partnerowi lub partnerce.

Schodząc z tej świętej góry wracamy do gwaru chińskiej ulicy, wilgotnego i gorącego powietrza, które będzie nam towarzyszyło jeszcze przez wiele dni tułaczki po Państwie Środka. Tam na górze czas zatrzymał się, zastygając w tradycyjnych bryłach małych klasztorów oraz dostojnych drzew, które uświęcone tradycją oparły się gospodarczym planom chińskich leśników. Rzeńskie górskie powietrze i bezpretensjonalny wschód słońca – można by tak rzec – są pozostałością dawnych Chin. Tutaj na dole, w pełnym gwaru i rodzącej się nowoczesności świecie, coraz trudniej znaleźć spokój i chwilę na religijną zadumę. A jest nad czym się zastanawiać, bo kto wie, czy właśnie nie tu, na tej ruchliwej chińskiej ulicy, przepełnionej rozmarzonym w nowoczesności nieprzebrany tłumie, ważą się losy naszego świata, mknącego jak na złamanie karku ku „światlanej” przyszłości.

Ryszard Kulik